

Strach, pamięć, ból, utrata.
Przejmująca opowieść o tym,
że wojna nie umiera nigdy...

Słochy na Zamjojszczyźnie. 1 czerwca 1943 roku. Niemcy wystrzelali mieszkańców, spalili zabudowania; potem nadleciały samoloty... W ciągu paru godzin wieś przestała istnieć. Pośród zgliszczy pozostał jeden dom; ocaleli nieliczni dorośli i garstka oniemiałych z przerażenia dzieci. Wśród nich dziewięcioletnia Terenia Ferenc, matka Anny Janko.

„Tragiczna historia rodziny była drugim dnem mojego dzieciństwa. Moja mama jako dziewczynka patrzyła na śmierć swoich rodziców, na rozpad całego swojego świata; jej życie rozpoczęło się więc od apokalipsy... Obrazy pożarów, zabijania, sieroctwa, tułaczki małych dzieci przeniknęły i do mojego życia i były jak strony szczególnego albumu rodzinnego, który się ogląda ze ściśniętym gardłem”. ANNA JANKO

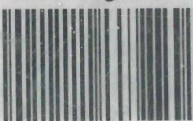
„*Mała Zagłada* nie jest jeszcze jedną tragiczną opowieścią wyciągniętą z lamusa drugiej wojny światowej. To mocna, jak najbardziej współczesna rozprawa z traumą tak zwanego drugiego pokolenia”
MARIUSZ NOWIK, „NEWSWEEK. HISTORIA”

Anna Janko – poetka, pisarka, felietonistka. Autorka kilku tomów wierszy oraz bestsellerowych powieści *Dziewczyna z zapalkami* i *Pasja według św. Hanki*. Laureatka wielu nagród i wyróżnień, m.in. Nagrody Młodych im. Włodzimierza Pietrzaka oraz Nagrody Literackiej im. Władysława Reymonta. Dwukrotnie nominowana do Nagrody Literackiej Nike (2001, 2013), nominowana też do Literackiej Nagrody Europy i Nagrody Mediów Cogito.

fol. Agnieszka Herman



MBP Cieszanów
Mała zagłada /



0000026341

cena 34,90 zł

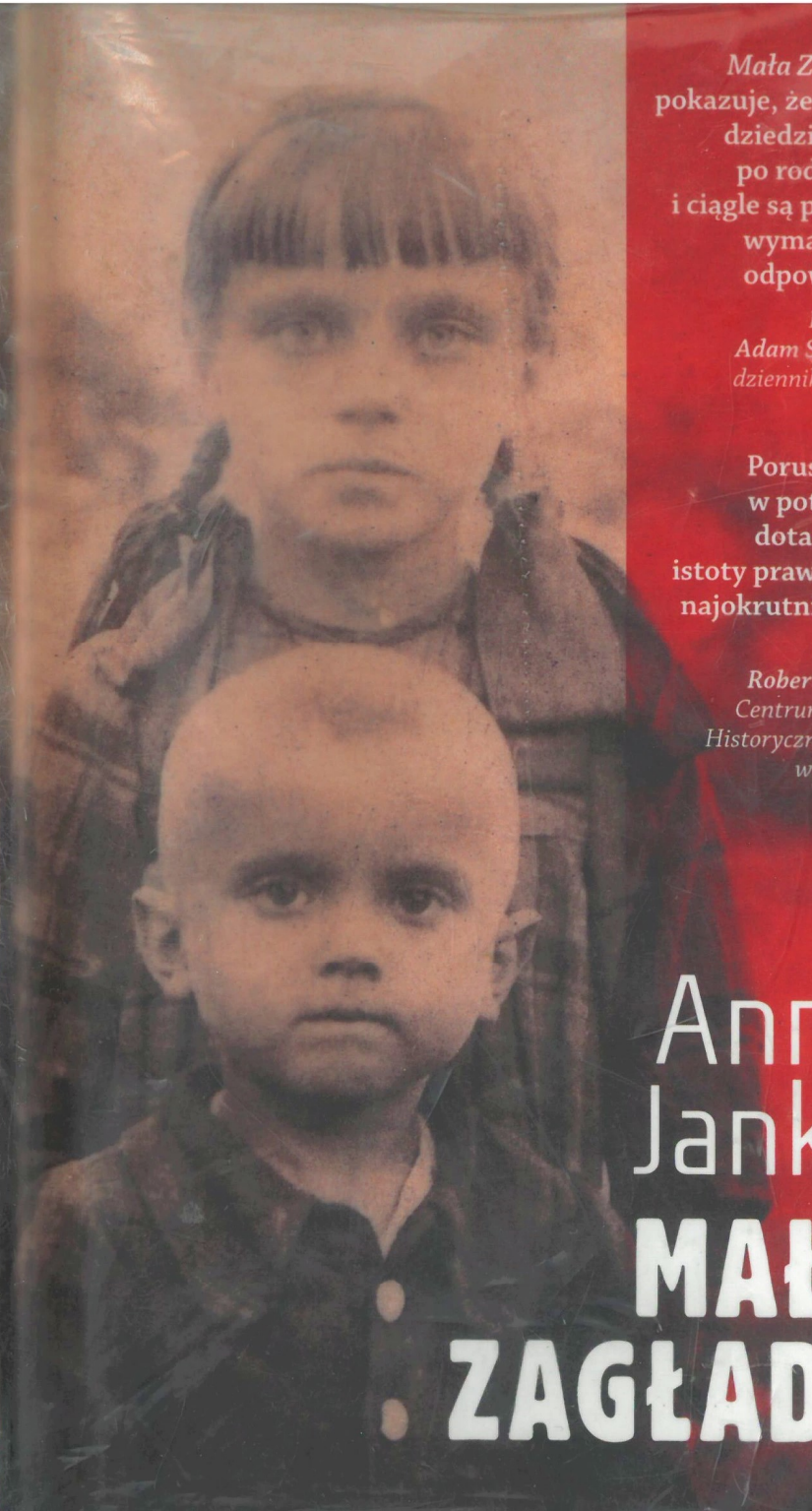
tytuł dostępna także jako e-book

WYDAWNICTWO LITERACKIE

w.wydawnictwoliterackie.pl

całkowicie bezpłatna linia telefoniczna 800 42 10 40

Anna Janko **MAŁA ZAGŁADA**



Mała Zagłada pokazuje, że blizny dziedziczy się po rodzicach i ciągle są pytania wymagające odpowiedzi.

Historyk
Adam Sikorski,
dziennikarz TVP

Poruszająca w potrzebie dotarcia do istoty prawdy. Tej najokrutniejszej.

Profesor
Robert Traba,
Centrum Badań
Historycznych PAN
w Berlinie



Anna
Janko
**MAŁA
ZAGŁADA**

WFL
JAN

Prezydent

Na Zamojszczyźnie były paramilitarne wioski „czarnych”, czyli nasiedleńców niemieckich — ukradzione Polakom dostatniejsze wsie, w których gospodarzyli wyposażeni w broń i umundurowani na czarno Niemcy z Besarabii ze swoimi rodzinami. W takiej wiosce urodził się 22 lutego 1943 późniejszy prezydent zjednoczonych Niemiec, Horst Köhler. To był Skierbieszów, opróżniony z rdzennych mieszkańców późną jesienią czterdziestego drugiego, nocą. Dano im dwadzieścia minut na ubranie się i spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy. Potem furmankami zawieziono ich do obozu w Zamościu. Lasami ich wieziono, bo drogą już jechali ci niemieccy osadnicy, w tym rodzice Horsta, Köhlerowie. Dzień się jeszcze nie przechylił, jak do otwartych domów weszli nowi właściciele. Weszli w czyjeś kąty, napalili w czyichś piecach, nakarmili czyjeś zwierzęta i spać się pokładli w tych samych łóżkach, z których w nocy wyrwano tamtych. Horst w brzuchu swej matki

(była mniej więcej w szóstym miesiącu ciąży) zapewne także zasnął. W izbie, z której jeszcze nie uleciał śmiertelny strach. W domu dużym i bardzo ładnym, z ganikiem, w środku wsi.

Ten dom należał do rodziny Węclawików, których stamtąd wygnano. Ostatecznie Węclawikowie trafili do baraków w Auschwitz. Żona Czesława Węclawika też była w ciąży, tak jak matka Horsta, urodziła w obozie. Jej dziecko zostało zaszpilowane, to znaczy otrzymało zastrzyk fenolu w serce. Ona też zaraz umarła po takim samym zastrzyku (barak numer 25, otoczony wysokim murem, okna zakratowane bez szyb, gołe prycze bez słomy). Miała dwadzieścia jeden lat, jasne oczy, prosty nos, pełne usta i na imię Zosia. Ładna była. To był początek zimnego maja 1943, gdy z dzieckiem na ręku weszła do bloku śmierci. Zabijał podoficer SS Hans Nierzwicki.

Ktoś powiedział, że jej dziecko niemiecki lekarz wrzucił do rozpalonego pieca na jej oczach, ale Czesław, mąż Zosi, tego nie potwierdza, nikt nie chce, żeby tak było. Niech więc to będzie inne dziecko innej kobiety.

Tych Węclawików ze Skierbieszowa było w Auschwitz więcej, nie wiem więc, czy akurat Zosia była gospodynią w tym domu, który objęli Köhlerowie; nawet jeśli nie, to mieszkała w sąsiedztwie. W obozie zginęła setka dzieci ze Skierbieszowa. Żeby coś poczuć, a nie tylko przyjąć tę liczbę do wiadomości, trzeba by usłyszeć ich imiona i jak wołają: „mamo” tuż przed zaszpilowaniem. Było to słyhać w sąsiednich barakach.

Generalplan Ost... Himmler kierował jego realizacją z Berlina, Odilo Globocnik z Lublina (jego nazwisko wszyscy tam pamiętają). Oryginał tego planu zaginął lub został zniszczony. Pozostały szkice i wzmianki w innych dokumentach. Już 7 października 1939 Hitler polecił Himmlerowi w specjalnym dekreście umacniać niemieckość poprzez masowe wysiedlenia Polaków i Żydów. Najpierw w Poznańskim, potem na Pomorzu. Część tych wygnańców trafiła na Zamojszczyznę i doczekała kolejnych wysiedleń albo i śmierci podczas pacyfikacji. Czyli śmierć tylko trochę na nich poczekała i inne miejsce wybrała.

Ktoś ze Skierbieszowa wspomina, że mieszkańcom dano aż godzinę, a nie dwadzieścia minut, na spakowanie się. Potem spędzono półtora tysiąca osób na plac i otoczono kordonem esesmanów; drugi kordon otaczał wieś. Przez kilka godzin, na mrozie, trwało sprawdzanie listy nazwisk; ewidencja dawała Niemcom poczucie siły, porządku, słuszności i ogólnie sensu wszelkich działań. Kto liczy, ten panuje nad liczonymi, prawda? Nie wiem, czy kogoś tam zastrzelono na miejscu w Skierbieszowie. Do obozu w Zamościu wysiedleni pojechali furmankami; na każdej siedział Niemiec z karabinem. To musiała być bardzo długa kolumna furmanek, która jechała bardzo długo.

Mogłabym o tym Skierbieszowie tak się nie rozgadywać, w końcu to czterdzieści kilometrów od naszych Soch. Jednak robię to specjalnie dla dzieci prezydenta Köhlera, żeby mogły wstawić brakujące dane w puste miejsca swojej pamięci. Wątpię, żeby studiowały one

wojenne dzieje Zamojszczyzny, skoro nawet nauczyciele historii w Niemczech o tym nie wiedzą... To co robię dla siebie i ciebie, robię też dla nich. Ponadto ten Skierbieszów to jest szczególna wieś, bo wychowywał się tam przed wojną jeszcze jeden prezydent, polski prezydent, Ignacy Mościcki. Rozminęli się więc obaj prezydenci w czasie, ale nie w przestrzeni... Zupełnie jakby tam był jakiś czakram, który dał tym chłopcom siłę ducha z politycznym ukierunkowaniem.

Wśród tamtejszych wysiedleńców był lekarz, Zygmunt Węclawik, zapewne spokrewniony z mieszkańcami ładnego domu z gankiem w centrum wsi. Znalazłam jego wspomnienie w takiej starej książce, którą od wujka Jasia dostałam, *Czas niewoli, czas śmierci*. Ów lekarz ze Skierbieszowa tak opisuje przybycie do obozu w Zamościu: „Wysadzają nas na placu. Jest już zupełnie ciemno. Cały dzień bez łyżki gorącej zupy. Podwójna ściana kolczastego drutu. Wewnątrz kolczaste zwoje. Te same baraki, w których Niemcy wykończyli kilkanaście tysięcy radzieckich jeńców. Jedni odeszli, przybyli następni. Ciche pochlipywanie kobiet przeszło w zbiorowe zawodzenie. Za nami zamknęła się kolczasta brama”.

W tym obozie rządził wtedy słynny esesman Artur Schütz, wcześniej bokser. Dzieci zabijał jednym ciosem.

W Zamościu odbyła się segregacja. Wśród siedmiuset osób, które wywieziono stamtąd przed Bożym Narodzeniem 1942 roku do obozu Auschwitz-Birkenau, było czterdziestu ośmiu skierbieszowskich chłopców w wieku dziewięć-czternaście lat; zginęli uśmierceni

zastrzykiem z fenolu. Pominę tu dziewczynki oraz dorosłych ze Skierbieszowa, między innymi owych Węclawików z ładnego domu w centrum wsi, ale może o tych chłopcach prezydent Köhler i jego dzieci powinni wiedzieć, bo to ich rodzinna historia. Nikt sobie miejsca narodzin nie wybiera, ale z pamięci się go wyrzucać nie powinno. Czterdziestu ośmiu to ilościowo jakby dwie klasy szkolne, według dzisiejszych standardów. Nie szkodzi, że wieś rodzinna Horsta (a wcześniej tych czterdziestu ośmiu chłopców) tymczasowo Heidenstein się nazywała. Bo który Niemiec wymówiłby polskie słowo Skierbieszów?

Ale i Köhlerowie musieli z Heidenstein uciekać rok później, w obawie przed partyzantami, bo to był okropny rok, ten 1943. Wszyscy zabijali wszystkich, strach i głód podminowały Generalplan Ost. Sochy już nie istniały, ty byłaś już sierotą... Dodam jeszcze tylko, że w 2004 roku Horst miał sześćdziesiąt jeden lat i właśnie wtedy został prezydentem Niemiec. Jego pierwszą zagraniczną podróżą była wizyta w Polsce, kraju urodzenia. Nie pojechał wtenczas do Skierbieszowa, bo i po co, nic przecież nie mógł pamiętać z czasów niemowlęctwa i niczemu nie był winny. Pamiętał natomiast, żeby powiedzieć: „Nie uważam się za wypędzonego. Wypędzeni zostali Polacy, w których domu moi rodzice zostali wtedy zakwaterowani”. To są słowa, które padły podczas wywiadu, jakiego udzielił Horst Köhler „Frankfurter Allgemeine Zeitung” w 2007 roku.

To bardzo ważne, że pamiętał, aby to powiedzieć.

Debellacja. Pięknie brzmiące słowo. Oznacza wysiedlenie połączone z eksterminacją. Czyli na przykład wojsko wchodzi do wioski, wygania ludzi z domów, opornych morduje, pokornych segreguje: mężczyźni powyżej czternastu lat (która matka powie, że jej czternastoletni syn nie jest już dzieckiem?) i młode kobiety (również i te czternastoletnie) pojadą na roboty do Niemiec; małe dzieci oddzieli się od matek, ciemnowłose na przykład się zabije albo pośle za druty, jasnowłose, czyli ładne, o nordyckich cechach, się wynarodowi (jeśli przeżyją transport); starsze kobiety się zostawi na przykład albo też za druty pośle, albo się je zastrzeli, spali w stodole, cokolwiek; zwierzęta gospodarskie, zapasy żywności, nawet zboże siewne i sadzeniaki się załaduje na ciężarówkę, jako zaopatrzenie dla wojska; wieś się spali częściowo lub całkowicie albo się ją zachowa dla siebie, czyli swoich osiedleńców. Debellacja, czyli koniec.

Debellacja, wysiedlanie ludności i osadnictwo podczas wojny, jest wbrew prawu międzynarodowemu, ale zdaje się, że nikt nie osądził Niemiec za ten błąd w sztuce wojennej. Niemcy z Besarabii, tacy jak na przykład rodzice Horsta Köhlera, „etniczni” Niemcy, zwani też czarnymi, bo takie mieli mundury, wędrowali po okupowanej Europie i też byli jak bezdomni. Ale nie bezbronni. W esesmańskiej obstawie, urzędowo zaopatrywani w zagrabione mienie żydowskie i polskie, mający do pracy w gospodarstwie robotników przymusowych, których nawet jedzeniem nie częstowali. Bo Polacy musieli mieć swój chleb do jedzenia i swoje konie do roboty w polu.

We własnym mniemaniu owi „Besarabi” zapewne szczęśliwi nie byli. Żyli w strachu, zastali go w domach, do których się powprowadzali, bo tam wtenczas strachu było tyle, że i pojechał z wypędzonymi na śmierć, i pozostał z tymi, co po nich nastali. Bali się tak, że spać nie mogli. Zbierali się nocami na posterunku i tam siedzieli całymi rodzinami. Mieli wartowników do pilnowania. Trochę ich poginęło w wyniku partyzanckich ataków na „czarne” wsie. Rachunki krzywd jednak były takie, że za zabicie jednego Niemca mogła pójść z dymem cała polska wieś, razem z dziećmi. Z niemowlęcia Horsta, urodzonego w Skierbieszowie, wyrósł prezydent silnych Niemiec. Soszańskie niemowlęta trafiły na cmentarz.

Okno

Dzieciom w Sochach starano się tej strasznej wojennej wiedzy oszczędzić, ale one i tak się dowiadywały. Przez oczy, przez uszy i przez skórę czuły. Opowiadałaś mi, pamiętam, że spałaś pod oknem, a to okno było jakby punktem przerzutowym. Nieraz w nocy tuż przy sobie słyszałaś szepty, krótkie zdania. A nad głową wędrowały chleby i oranżada. Leżałaś bez ruchu, udawałaś, że śpisz. W ciemności po te szare bochenki i szare butelki wyciągały się szare ręce.

— Tata te rzeczy podawał, miał sklep przecież, a w sklepie towar. Jak by mógł odmówić. Tata podawał, a mama jęczała: „Jezu, pozabijają nas, Jezu, pozabijają nas”. To byli „bandyci”. Czyli partyzanci. Byli bezwzględni, gdy chodziło o żywność.

— Nie, mammo, to nie mogli być partyzanci, partyzanci by weszli do środka, do sklepu. Oni by nie wyciągali rąk zza okna. Mieli broń i słuszność po swojej stronie.

— W takim razie to musieli być Żydzi.